

REPORTER „MAGAZYNU” ŁOWI NA RÓWNIKU REKINY? OCHI

Do ryku syren statków stojących w porcie Buenos Aires wnieśli się i nasza. Jakby spłoszony jej szum potężnymi, prządzgłymi rykami szerzył się w górę nad wodą. Zasyany sprężyną powietrzem silnik „Mickiewicza” pracuje na najniższych obrotach. Dwa holowniki wyprowadzają nas z portu. Wodnoślup szybkuje już ponad Srebrną Rzeką — do Montevideo, a nasza parutowna śrubą okrętową mać jeszcze bardziej weale nie nabiera lecz metne wody La Platy. Przypomina mi się troję Wile i nasze górskie polki, kiedy w okresie deszczu nacierają w koryta rzek głąb i ziemię.

Na czym innym jednak koncentruje swoją uwagę załoga. Słownik manewrowy. Erwin Galk, wpatrzony w różną kompas, sprawdza, czy prowadzi statek zgodnie z poleceniami pilota. Wile, że najmniejsza awaria nieugiętej i szczeniście kursu grozi niechytnym osadzeniem statku na mieliznie, a nawet zderzeniem z innymi statkami stojącymi w rzędach basenach portu. Na mostku kapitańskim ciężej przerywa jakiegoś głuche trzaski telegrafu, którego strażnik przekazuje polecenia do maszynowni: „wolno naprzed”, „stop”, „cała wstecz”, „mów”, „wolno naprzed”, „stop”, „wstecz”. Koles na podany zostaje pełne niezmocni. W małym basenie portowym zastojowym statkami pasażerskimi i frachtowymi czują się nicozymi białaczkami na korytarzach. Wroscie bierze pierwszą a nich. Ustawię się dobiegom do wyjścia z basenu handlowego. Ma się widać w małą szczylną szes na parę saliedwie metrów od samego statku, zagrodzoną w dodatku poprzecznym, swoim mostem. Zbliża się do jucha „Gielnego”. Wolno, powraca się 10 metrów naprzed, to znów cofa 50 metrów wstecz.

Kapitan Władysław Lekki zapomniał nawet o swej nieodłącznej fajce. Trzyma ją w ręce i zwróciwszy głownie pod adresem strażnika, który za stołem otwiera most, że stoicim spokojem przypatrzy się „maszynowej” statku. Ponagla na rykiem syreny okrętowej strażnik decyduje się wreszcie na otwarcie mostu. Długie kłama tamie robi zwrot w prawo pod kątem 90 stopni i kładzie się z linią betonowego bulwaru. Kilka potężnych odbojczyk zwisa za burzą statku. Tłum gapiów czołba lub burtą zawadziło dzieło lub burtą o nabrzeże.

40 minut molożnego manewru, w którym statek przeszedł zaledwie 400 metrów, były przedostatnią próbą opanowania ludzkich nerwów i sprawności statku. Ostatnią było ustawienie się w awanporcie idealnie dobiegom po linii symetrii kanału i ta próba wywołała pomyłkę. Silnik statku już tymczasem, „Mickiewicz” wybiła zwolnione z bolowalników cumy i wielkim zlewakiem wód Parany i Urugwaju — La Platy wypływa na Ocean Atlantycki. „Cała naprzed” — pada komenda. Kierunek Santos.

Nikt z nas nie wie jakie czekają nas przygody. Pierwszym ich przedmiotem jest rada portu w Santos. W oczekiwaniu na wejście do portu po załadunek 500 ton brazyjskiej kawy, załoga i pasażerowie mają dość czasu, by oddać się namilności od wędrowania. Jakże oddziennie jednak wygląda ten sport na pełnym morzu w porównaniu z wędrowaniem nad naszymi rzekami lub jeziorami. Z zainteresowaniem przyglądamy się poczynaniom przygotowania wędki, wędrowania, różnych history-

jek opowiadanych przez marynarzy, — wreszcie — sam nie tyle może z nudy, co z ciekawości „pokonaliśmy” haczyk. I ja przygotowałem sobie wędkę. Dziwna to była wędka, bez widziaka, bo i niby gdzie na statku szukać kłójów bez spławika, za to z dwoma haczykami ucieplonymi w półmetrowym odstępie. Poza tym wszystko było już normalne. Ołów, tyłka i haczyk. Przestrasza — tyłka była tak gruba, że utrzymywała kilkunastokrotnego szczupaka, gdy tymczasem tu w morzu nie zawsze była na tyle mocna, by wyciągnąć na pokład 20-dekagramową rybkę.

Po tych wszystkich przygotowaniach całą gromadką zjawiliśmy się na rufie „Mickiewicza”. Rozpoczęli się zabawy. Stare doświadczone wilki morskie, jak np. i radiofizycer Franciszek Ristau, motorzysta Gebel, II mechanik R. Mielonka, IV mechanik M. Małaj Kaliszczak i inni nie zdradzali początkowo, nam pasażerom, swych tajemnic. Za nic nie mogliśmy pojąć, jak oni to robią, że nie zdają jeszcze dobrze wrzucić wędki do wody, a już ciągają na powierzchnię ryby. Przy tym zdarzało się, że jeden z dwóch haczyków jest pusty. Przeważnie na obu trzępoczą ryby. Zanim poznaliśmy ich tajemnicę w wiadry nie było już miejsca. W 10 minut — wiadro rybi! Wreszcie i na moją wędkę zacząłem łowić. Cóż to była za frajda! Tajemnica ich sukcesów polegała po prostu na tym, że zakracali wędki na dno morza. Zerulując tam ryby nie mogli widzieć oprócz się kawałeczka ciemnego młosa wolowatego umieszczonym na haczykach. Każdy taki statek ryb — żarłoków „rejestrował” palec wskazujący prawej ręki zastępujący spławik. Owinęta na nim tyłka wyszła się w palec dając w ten sposób znać, że ryba „widzi”. Często zdarzało się, że samolot ryby wyciągało na powierzchnię wody wędki z odgryzionym haczykiem.

Widzieliśmy także ryby pierwszy raz na własne oczy.

Niektóre z nich podobne były do sumów, inne przypominały częściowo z wyglądu głowienka, z której wyrastało kilka czułek — wacułów. Inne natomiast miały coś w sobie z gatunku naszych okoni i szczupaków. Wszystkie natomiast posiadały ostre zęby, którymi niejednokrotnie nas skaleczyły, sobie palce odciśnięte ryby z haczyków.

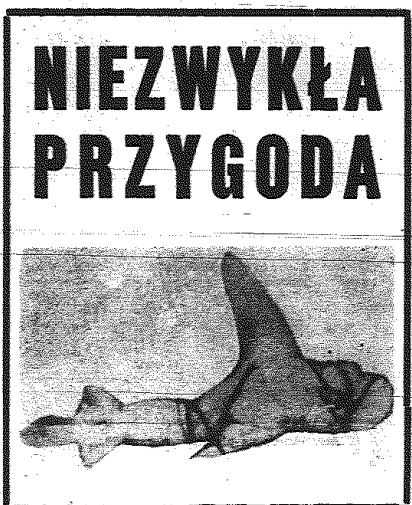
I nikt nie wiedział czy są to ryby jadalne, czy nie. Godziliśmy łowić się na ten temat dyskusje, aż wreszcie któregoś dnia znaleźli się śmieciek. Oczywiście jedną rybka, usmażył i... wszyscy czekali teraz co się z nim stanie. Rano śmieciek ów był jeszcze i zamieszkiwał. Któregoś rzykła zjadł na śniadanie, poprosił kucharkę o patelnię i oliwę. Namastyl nową porcję zwinionych ryb zachwycił przy tym, jak to wspaniały on smakują. To wystarczyło, by zawody wędkarów rozgorzały na nowo. W ciągu godziny dostarczono kucharkowi kilkanaście kilogramów ryb. Mistrz Ocieł sporządził z ryb drugą naleśnikową do obiadu dla 33 głodomorów.

Z zainteresowania wędkarzy zmieniła się co dzień. Małe rybki już spowodziły, zaczęto się więc oglądać za większymi sztukami, tym bardziej, że kolo statku pojawiły się rekiny. Oczywiście w ruch poszły inne wędki. Nylonowe żyłki zastąpiły stalowymi linkami, a haczyki kłowiakami. Na jachcie z takich wędek stał się mały rekin. Z dumą pokazywał go wszystkim polowcy elektrycy Wójcik. Ten miniatury rekin był — dopiero przedmiotem prawdziwych łowów na rekiny, które nas czekały. Wprawdzie nikt na razie w Santos nie przyznał, że akurat na Równiku łowić będziemy rekiny, bo nikt też nie sędził że silnik okrętowy odmówi nam posłuszeństwa.

A jednak stało się. Zamiał wprost do Odny popłynęliśmy z Santos do stocni w Rio de Janeiro. Dwutygodniowy remont nie na wiecie się dła. Silnik nie odzyskał swej dawnej sprawności. Wyczerpały się natomiast zapasy żywności i wody. Po wypłynięciu z Rio wiktusów i wody starczyło za ledwie do Równika. Cóż miał robić nieposłuszny stat-

plan statku Władysław Lekki? Przez statkową radiostację porozumiał się z pilotem z kraju do Ameryki Południowej „Sienkiewiczem” i poprosił o pomoc. Dwa dni oba statki płynęły na spotkanie, a tym, że „Mickiewicz” i tym razem zanieśli. Staliśmy w dryfle okiśkując na przybycie „Sienkiewicza”. Mechanik naprawił uszkodzony silnik, czuła wolnej od zajęć załoga spuściła statek i po niepokojnych falach Oceanu po-

ja wędka zakładam kawałki szwajcarskiego sera. Silny prąd morski zrywa je natychmiast, kiedy zanurzam wędkę w wodzie. Nie rezygnuję z łowienia, bo w przeciwnym razie niebawem wędka Oceanu widzę krakającą koło burty statku rybę. Proszę kucharkę o kawałek mięsa. O, teraz to co innego. Wędka wturcona w wodę zwabia niepodważalnie rekina. Wyciągam ją czym prędzej z wody, bo przecież rekin rozprawiłby się z nią



Wypatrzonego i wypchanego już rekina oraz jego pogromcę — bismar Erwin Pasterny pozostaje do zdjęcia w Kanał Kiloński.

dotarła do stojącego o dobrą milię od nas „Sienkiewicza”. Po chwili „Sienkiewicz” przeszedł obok nas na odległość kilkudziesięciu metrów, pośledni nas przeciągnął żyłkami syreny, zasalutował flagą i zmienił na linię boczny. Zostaliśmy znów sami, wokół nas tylko powietrze woda i chylące się ku zachodowi słońce. Co w tej sytuacji robić? Slegam po swoje wędki. Jedną z nich polowca panu Czechowskiemu Dniem, przemienionu człowiekiem wczorajszym po latach służbowego pobytu w Brazylii powołanie do kraju. Erwin Pasterny chociaż w ten sposób odzyskał na chwilę wyzwanie dręczące nas myśli. Na two-

bez kłopotu i wolam co się w stronę I oficera pana Krzyżofa Meissnera, aby powiedział bismarowi, że kolo statku krąży rekin.

Bismar Erwin Pasterny od dawna czekał na takie spotkanie z żarłakiem i wreszcie już przygotował potężną wędkę. Po chwili wokół lewej burty statku zebrał się kłój ryb. Rekin tymczasem stał się kartonem po guzikach z soku pomarańczy wyrzucenym za burtę. Wyskakiwał w górę, to znów gwałt w przedziałach. Wreszcie bismar wrzucił wędkę. To dopiero było. Wędka Stalowy hak taki na jakich często wiszą w maszynach cale połowy woku, umocowany był do stalowej liny o średnicy przynajmniej 1,5 centymetra. W miejscu gdzie stalowa lina połączona została z manilową linią cumowniczą zwisała biała białka w której poprzecznie było 8 kłój ryb do malowania statku. Teraz stutyla po prostu za płwak utrzymywany stalową linią i hak obrotowy kilogramową porcję mięsa na odpowiedniej głębokości. Rekin, bestia widząc zgodziła się na walkę i podążyła. Pod jej podprowadził go dwie ryby — piloty siedzące jedna na grzbiecie druga na płetwie. Cóż to za myślnie stworzenia. Nieduża, 30-40 centymetrowej długości rybki o białe-czerwonych pręgach a la zebra towarzyszą rekinom w ich łowach. Rekin posłuszny ich woli pikuje w dół mieniąc się w wodzie przepięknym sedymentem. Widać na nich kolorom swej skóry. Jego płetwy boczne i ogonowe świecą lekko niebieskim światłem, jakby natłoczone. Przypomina to do złudzenia światła potężnych omulików o smaczających noca swą szerokość jaką zabijają na złość. Po kilku manewrach wokół statku atakuje ta-

KAROL STRUG

ZDJĘCIA ZE JEGO

raz od spodu. Złapał Stalowy wrzask: 33 świadków widzieli się w tym momencie. Trzy pary rąk zwiniały linę. Rekin zataczał błąka-wicznie krótkie koło. Biała-puszka zjawia się ponownie nad powierzchnią wody. Jak zawodny, krótkie powstrzymanie bez przerwy słowem: „urwał się!” Kłój krzyczy nagie: „jest!” Faktycznie, rekin stuknął jeszcze raz! Tym razem skutecznie. W górę strzelał tonię wody, rozpryskiwana przez starającą się opór żarłoka. Ryby — piloty zwiększyły niebezpieczeństwo opuszczając swego podopiecznego, głąb w głębinach morza. Obrzydnie, kilkunastometrowej długości ciało powoli holowane jest do burty statku. Po pierwszym ataku furii bestia zmieniła się w baranka, pozwala się spokojnie holować do burty. W momencie jednak kiedy jest już nad powierzchnią wody ponawia atak: Rana — jak opętany. Kreć pieru-

statku. Już nie są groźne. Zmieniły też kolor swej skóry z seledynowo-niebieskiego w wodzie na brązowo-szary na powietrzu. W dodatku skóra ta przypomina początkowo akasmit, ale tyklo wówczas, kiedy rekin gładzi ją od ogona w stronę pazu. Odwrótny ruch ręki przekonuje człowieka, że ta delikatna, na pierwszy rzut oka, skóra pełna jest drobniutkich, ostrej igieł. Uczucie, jakbyś podciągnął rękę po tarce.

Ogledniły nasze uzupełnia „nauczono” asystent mechanika Zenon Karolczuk. W ręce trzyma „Małą Epiklopedię Powstania” i czyta: „Rekin to ryba z rzędu chrzęstnoszkieletowych, osiąga znaczne rozmiary, ogon ma niesymetryczny, płetwy błoniste, ciało pokryte szpami skórnymi, po bokach ciała pięć — siedem szczelin kręzwłochy”.

Wszystko się zgadza, — tym, że nasze rekiny należą do rzędu chrzęstnoszkieletowych. Długość każdego z nich nie przekracza 2,5 m. Rozpiętość płetw 1,10 m, waga 80 kg każdy. A paszczą? Głowa każdego z nas mieściła się w niej bez kłopotu. Zęby zakrzywione do wewnątrz i ułożone w kilku-kolejnych rzędach podobne były do zębów pily, której drwa używają do karczowania lasów. W górnej szczęce 22 zębów, w dolnej — 50.

Wczoraj, kiedy oś rekiny nie dawały już znaku życia, przystąpiono do zdejmowania z nich skóry. Na misgo, które ponoć jest idealne, nikt z nas nie reflektował. Fachniolu tranama. Przemierzono je na dalsze, tym razem nocne już łowy rekiny. Te jednak nie przychodziły — nam widzieliśmy. Wprawdzie wokół statku krążyły ciałe stada rekiny, zwabione krwią i potężnymi kęsami mięsa, — ale na wędki nie zapałał się żaden z nich. Był może, że odstraszał ich blask elektrycznej lampy zwiatającej za burtą, a może głownie dlatego, że rekiny pływają same, bez swych towarzyszy — pilotów. Próbowałyśmy różnych sposobów. Zanurzaliśmy nawet olbrzymią lampę elektryczną, tzw. słoneczną, w głąb wody. Bez rezultatu. Raz tylko rekin zaimał mielen zalogowanego naku zatakwali naszą lampę. Później wszystkie rekiny krążyły wokół niej odstrasżając inne przelatujące wielkości i kształtów bajeckie kolorytne ciemno-czerwone, niebiesko-czerwone, popłato-białe niestanna napół-ślej ryby.

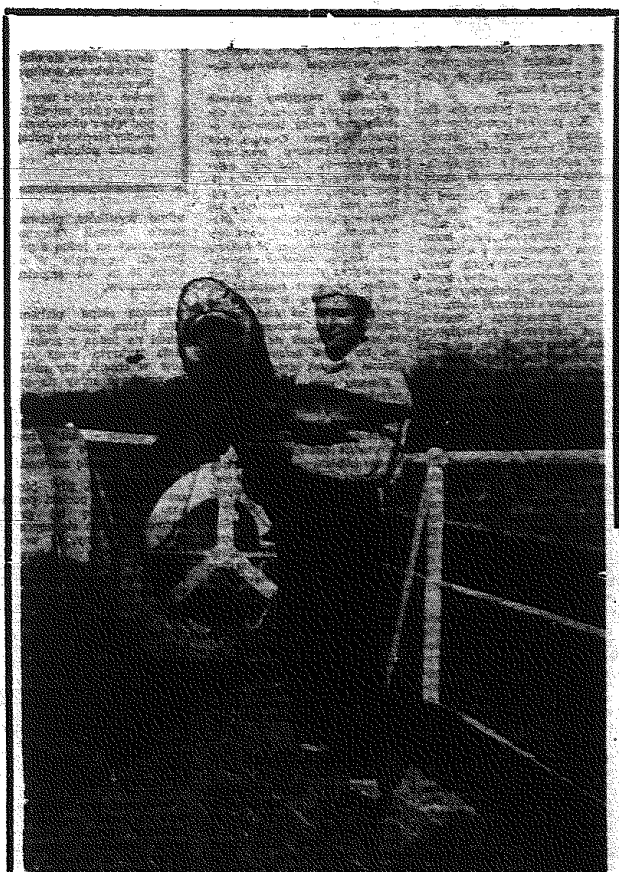
Późno w nocy „Mickiewicz” zgasił dwa czerwone światła sygnalizujące innym statkom płynącym obok nas o niezdolności manewrowania, silnik poruszył śrubę okrętową. Pozagaliśmy Równik, zakochyli się łowy rekiny. Dotarłyśmy one natomiast do rozmów nie mniej aniżeli chłost morski odbyły na tej samej szerokości i długości geograficznej w drodze do Ameryki Południowej. Tylko nasz bismar Erwin Pasterny nie wadzał się w dyskusję. Ciężwieł i wytrwale służył skróci rekin, wypchał ją potem trokami smaczającymi się spirytem demantowym i przy wzięci bestie do kraju.

— To będzie — mówił — mój prezent dla jednej z śląskich szkół Tryjadela.

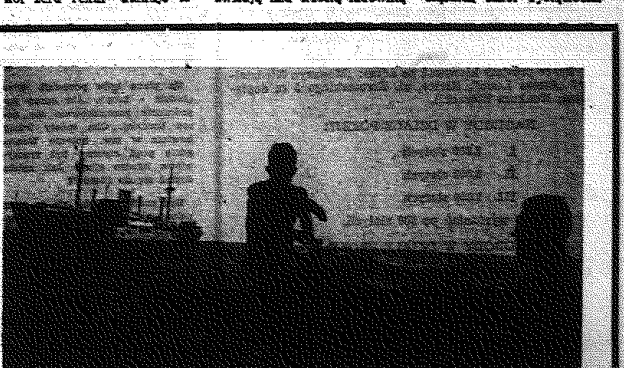
Ktoś żartobliwie wraca się do kapitana statku: „Jeśli złapiemy jeszcze z 10 takich bestii, silnik niepotrzebny. Rekiny wzmacniają na hol i tych 10 wędłów wykreca na godzinę”.

Kapitan kwituje ten żart uśmiechem, zaś i mechanik Jan Kabalik ma trochę po-sepna minę, jednak wraz z innymi oglądają „złoty”.

Oba rekiny majestatycznie zwisały nad trzaskającą



Wypatrzonego i wypchanego już rekina oraz jego pogromcę — bismar Erwin Pasterny pozostaje do zdjęcia w Kanał Kiloński.



Ocieł wędki od rąk żabki spuściła statek i po niepokojnych falach Oceanu podążyła do stojącego o dobrą milię od nas „Sienkiewicza”.

